Romans i Powieść.

Adres redakcyi i administracyi:
Warszawa—Al. Jerozolimska, 49.
Kraków—Zyblikiewicza, 8.

W Król. i Ces. 4 r. rocznie
w Galicyi 10 koron

Eliza Orzeszkowa.

BÓG WIE KTO.

(rok 1863).

— Jezus Marya! Co ty wygadujesz, Marylko!

— Bóg wie, co pleciesz!

— Nie znasz się!

— Nieszczęście przepowiadasz...

— Tu żartow niema! To byłoby nieszczęście!...

— O nowem sprowadzaniu ani myśleć!...

— Gdzież tam! czasu już niema...

— Krój, Marylko! Zaczynaj krajać! Zobaczysz, że wystarczy...

Ręce błagalnie złożyła i głosikiem cienkim zawołała.

— Boję się! Jak mamę kocham, nie wystarczy, a potem panie powiedzą, że źle wymiarkowałam i że to moja wina!

Nic tak łatwo do pasyi doprowadzić nie może, jak strach. Strachem zdjęła mię przepowiednia Marylki, więc wpadam w pasyę i nie wołam już, ale krzyczę, wprost krzyczę.

— Pani Czernickiej tu poproś! Powiedz, że prosimy bardzo, żeby przyszła!

— Czernickiej! Czernickiej! powtarza za mną chór kilku głosów, a inne wołają.

— Czernisi! Czernisi na ratunek zawołać!

Żona to nadleśnego, w oficynie mieszkająca z mężem i z synem jedynakiem, którzy obaj do partyi iść mają. O, ta na wszystkiem zna się! Gdy idzie o gospodarstwo i wszelkie inne takie rzeczy, wszystko robić umie i robi gorliwie, sumiennie.

Wchodzi. Wysoka taka, że my przy niej liliputki, a taka od góry do dołu cienka i równa, że nić gładko wyprzędzioną przypomina. U szczytu główka mała, z małą twarzyczką żółtą i małemi oczkami czarnemi, a z tyłu głowy ubożuchny warkoczyk, spiralną linią sterczący nad włosami, tak wygładzonemi i błyszczącemi, że zdają się być bardzo obcisłym czepeczkiem z czarnego atłasu. Czarną suknię na sobie ma i na czole pod czarnym atłasem włosów zmarszczki bardzo sympatyczne, bo o jakichś poczciwych troskach i trudach opowiadające, wyraźnie opowiadające.

Ciekawie na nas i na robotę naszą spogląda i, wezwaniem uradowana, z uśmiechem kłania się na wszystkie strony. A z naszej strony zgiełk wykrzykników.

— Czernisiu, ratuj! Oto baranki!... Sto konfederatek uszyć! Zmiłuj się, zrób tak, aby wystarczyło! Popatrz, pomiarkuj, wymierz, skrój!

Patrzała, miarkowała, na wszystkie strony baranki obracała, milcząc. Zły znak, że milczy. Żaden grek w obraz Pytyi trwożniejszego wzroku nie wlepiał, niż nasz był w tej chwili.

— Cóż? Jak pani Czernicka o tem myśli?

— Co myślisz, Czernisiu?

A ona z zastanowieniem i tonem uroczystym odpowiada.

— Nic nie myślę. I nic teraz ostatecznego nie powiem. Straszyć nie chcę i obiecanek - cacanek nie lubię. Może wystarczy, może nie wystarczy. Dobrze miarkować i wymiarkowywać trzeba. Ale—że zrobię wszystko, co w możności człowieczej jest, o tem panie upewniam, bo przecież to nie dla kogoś tam jednego, ale i dla szczęśliwości publicznej robota.

Lubiła czasem Czernisia mówić górnie i tę „szczęśliwość publiczną“ jakoś tak sama sobie wymyśliła, bo ilekroć dwa te wyrazy wymawiała, stawała się trochę rozrzewnioną i zarazem uroczystą.

— O nożyczki proszę.....

— Są! są! Oto są! Moja Czernisiu, moje złota, miarkuj, rozmiarkowuj!

Ciężar nam wszystkim z piersi spadł. Już kiedy Czernisia czemś się zajmie i o coś się postara....

Przy naszym stole z krajaniem swojem zmieścić się nie mogła, więc gdy przy bocznym stoliku, różne fraszki i fatałaszki z niego zdjąwszy, nad górą barankowych futerek stanęła, to zdawać się mogło, że różowe tło pokoju przerznęła kresa czarna i długa, u szczytu w kropkę ze sterczącym ku górze ogonkiem zaopatrzona.

Milczenie na długo różowy pokój zaległo; tylko w nim osiem par rąk z igłami w palcach—to podnosi się nad pochylone głowy, to opada, i dwoje nożyc—to otwiera się, to zamyka, aż czasem zgrzyta. Nożyce Wincusi działają w tempie spiesznym, Czernisi w powolnym, ostrożnym. Patrzymy czasem na nią, gdy, czynność krojenia na chwilę

zawieszając, przypatruje się rozłożonej na stole sztuce baranków, wzrokiem ją przemierza, z palcem do ust przytkniętym rozmyśla, rozważa—i dobra nadzieja do serc nam wstępuje.

Nadzieja! Tej pełne byłyśmy nietylko co do oszyć u kwadratowych czapek. Najróżniejszemi głosy śpiewała ona w wiośnianych głowach naszych, które dotąd czubkami fryzur zaledwie wychyliły się na świat zawodny, okrutny, i w sercach naszych gorących, aż wrących, które brzegami warg zaledwie ostrych brzegów puharu jego dotknęły.

„O, młodości...
Śnie na kwiatach,
Śnie mój złoty...“

Czemże są kwiaty młodości? Marzeniem, co więdnie w jesieni. Czem jej złoto? Nadzieją, co w ogniu życia topione, po drogach jego z serca wycieka.

Za oknami szary deszczyk marcowy mży i mży; z przeciwnego końca domu dochodzą czasem brzmienia męzkich głosów niewyraźne i na długo milkną. Cisza.

W ciszy różowego pokoju o jaskrawości trzech kolorów, na wszystkie strony rozrzuconych, rozległ się przyciszony, z głębokiem, piersiowem brzmieniem, głos kobiecy, który mówić zaczął.

„O, matko polko, gdy u syna twego
W źrenicach błyszczy genijuszu świetność,
Jeśli mu patrzy z czoła dziecinnego
Dawna polaków duma i szlachetność...

Z robotą i rękoma, na kolana opuszczonemi, z bladem czołem, naprzód nieco podanem, Klemunia Boniecka mówiła wiersz, wszystkim nam dobrze znany, przez wszystkie prawie na pamięć umiany. Nie deklamowała, — mówiła. Mówiła powoli, zcicha, spokojnie.

„Wcześnie mu ręce okręcaj łańcuchem,
Do taczkowego każ zaprzęgać woza:
By przed katowskim nie zbladnął obuchem,
Ani się spłonił na widok powroza...“

Mówiła powoli, zcicha, spokojnie. Tylko w głębokim jej głosie pobrzmiewały czasem nuty bólu i smutku, a w siwych źrenicach, które z pod wypukłego czoła kędyś woddali tkwiły, płonął ogień spokojny, równy, silny.

„Zwyciężonemu za pomnik grobowy
Zostaną suche drewna szubienicy,
Za całą sławę krótki płacz kobiecy
I długie, nocne rodaków rozmowy...“

U szyi jej, na czarnym staniku połyskiwała ramka stalowa, obejmująca portret Kościuszki.

Szyć nie przestając, wiersza na pamięć umianego słuchałyśmy tak, jakgdybyśmy po raz pierwszy w życiu go słyszały: z przyśpieszonem biciem serc, z wilgocią na rzęsach. Hrabina westchnęła głośno; może o swoich dwóch synkach malutkich pomyślała. Oktunia szepnęła.

— Mój Stasik maleńki...

Wtem—u bocznego stolika zagrzmiało, runęło; jakby się trąba nad gruzami zburzonego Jeruzalemu rozlegała.

To Czernisia nos utarła. A potem, przez chwilę jeszcze, wielką chustą łzy, po twarzy ciekące, ocierała.

Aby zasiadaniem do stołu przerwy długiej w robocie nie sprowadzać, śniadanie do różowego pokoju przynieść kazałam. Na późny obiad—to już do sali jadalnej pójdziemy, ale teraz—byle jak, byle co, byle czasu tracić jaknajmniej! Co za szkoda, mój Boże, że człowiek, gdy ma coś lepszego i milszego do roboty, bez jedzenia obejść się nie może! Niech tam w sali jadalnej panowie dziś sami jedzą, a my tutaj—pręciutko! Panom dziś tutaj przychodzić nie wolno, bo swemi żartami, wiecznem swojem sprzeciwianiem się—tylkoby przeszkadzali.

Przyszli jednak. Trzech domowych było i czwarty gość. W przerwie śniadaniowej przyszli, gdy Oktunia, bezkresny tren amazonki swojej podniósłszy, do salonu przyległego wybiegła, przy fortepianie usiadła i silnym sopranem na cały dom zaśpiewała: „Rachelo, kiedy Pan, w dobroci niepojęty...“

Gwar powstał, panowie weszli i śpiewaczkę otoczyli, prosząc, aby jeszcze co zaśpiewała. Więc nastąpiły „Les adieux“ Szuberta i „Bywaj, dziewczę, zdrowe, Ojczyzna mię woła.“

A czas uciekał.

— Oktuniu, dość śpiewania! szyć trzeba!

Zerwała się od fortepianu, w trenie amazonki zaplątawszy się, o mało nie upadła, lecz zwinna, jak sarna, z więzów się wywinęła i, krzesła swego dopadłszy, już szyje, szyje. A my panów nietylko z różowego pokoju, ale w ogóle z pobliża swego, wydalić usiłujemy. Niech sobie na drugi koniec domu idą, niech nam coprędzej z oczu schodzą, niech nam nie przeszkadzają.

Oktunia, ani na mgnienie oka szyć nie przestając, pełnym głosem, na nutę „Rachelo, kiedy Pan“ śpiewa:

— Niech dają nam święęę — ty— poooo— kój!

Nie chcą zrazu odchodzić, opierają się, proszą, aż nakoniec ogłuszeni, zakrzyczani, oddalają się, a w różowym pokoju znowu milczenie, szycie, ręce to podnoszą się, to opadają, czasem stalowa iskra na staniku lub w splotach włosów błyśnie, czasem nożyce zazgrzytają.

Bo Wincusia i Czernisia bez przestanku kroją i kroją: pierwsza raźnie i szybko, druga, różową ścianę wciąż długą, czarną kresą przerzynając, rozważnie, uroczyście.

Wtem turkot kół na dziedzińcu. Ktoś przyjechał. Tosia zarumieniła się, Ince igła z palców wypadła.

— Może wesoły Oleś!—żartujemy z pierwszej.

— Może p. Gustaw!—draźnimy się z drugą.

Ale że mi wcale, oprócz niewyraźnych w oddali głosów i kroków, dosłyszeć niepodobna, więc Inka podnosi na nas oczy i z najsłodszą swoją minką proponuje.

— Pójdę, dowiem się, kto przyjechał.

— Owszem, prosimy.

Wybiega i rychło, z greckim noskiem, na kwintę spuszczonym, powraca.

— Pan Burakiewicz przyjechał—mówi.

DCN.

Władysław St. Reymont.

MARZYCIEL.

Podniosła oczy z takim wyrzutem, że się zmieszał.

— Jaki pan dla mnie niedobry, jaki niedobry!—wdzięczyła się kapryśnie.

— Ależ jabym dla osoby poświęcił już niewiem co!—zawołał patetycznie.

— Nie prawda, ani nawet tycia! Pokazała mu koniuszek czerwonego języka i, wsparłszy się obfitym gorsem o brzeg stołu, patrzyła wyzywająco.

— No, i cóż, panie Józiu?—zagadnęła po długiej chwili.

— Co? a poniedziałek już od samego rana, panno Marychno!

— I Marzec od pierwszego Marca! Zaśmiała się, uderzając go włóczką. Za szafami wybuchnęła dosyć burzliwa sprzeczka i ktoś zawołał.

— Panno Marychno. cztery mocne z kroplami!

— I cztery małe piwa na przekąskę!—dorzucił jakiś grubszy głos.

Marychna zakręciła się przy bufecie, a pompując piwo, patrzyła w Józia, wzdychając przytem tak głęboko, aż pełny gors podnosił się jej pod samą brodę i trzeszczały wszystkie szwy i guziki, a po twarzy, omączonej pudrem i pełnej sinych pryszczów, przelatywały rumieńce.

Poniosła za szafy napoje i prawie w tej chwili zawrzeszczała piskliwie.

— No, jak mamę kocham, tak poprzetrącam! ręce przy sobie.

Buchnęły drwiące śmiechy, ktoś się zaszamotał, przewróciło się krzesło i wybiegła rozczerwieniona i zasapana, przygładzając rozburzone włosy. Brzydka była i śmieszna, głowę miała podobną do wyrysowanego pudła: złote, ogromne koła w uszach, twarz okrągła, zadarty nosek, ukarminowane wargi i małe podczernione oczki. Usiadła na dawnem miejscu z takiem westchnieniem, że aż pękła jakaś haftka przy staniku.

— Jak mamę kocham, ale z pana ciężki frajer,—ozwała się z przekąsem.

— Że zawsze ręce trzymam przy sobie, co? Irytowały go już te przymówki.

— Także coś! Obraziła się, lecz po chwili, obrzucając go melancholijnem spojrzeniem, zaszeptała gorąco:—Pan — to jak drewno... ludzie giną przez pana... tęsknią... a pan nic nie widzi... i zawsze tylko sam, z temi książkami...

Roześmiał się wesoło i rzekł, pochylając się ku niej.

— Ale za to dobrze wiem, co się dzieje na stacyi. Wiem nawet, co wczoraj za szafami mówił do pani Adam... wiem także, że była pani bez gorsetu...

— Także wymysł! Ci mężczyźni to gorsi—już nie wiem od czego! Plotkują tylko po biurach! Zaperzyła się, ale—by zmienić niemiły temat, zawołała.

— Wie pan, pułkownikowa znowu wypytywała się o pana!

— Mało to ma w pułku oficerów!

— Ona podobno deńszczyków zmienia co miesiąc... nie może sobie dobrać...

Przyszło na wódkę dwóch maszynistów i Marychna znowu stanęła za bufetem. Józio popijał wyziębłą kawę i patrzył przez okna na pociąg towarowy, przesuwający się przez stacyę, niby długi wąż o białym, zaśnieżonym grzbiecie. Od bufetu roznosiły się strzępy rozmów i brzęk kieliszków.

— Naprawdę nie boi się pani sama w łóżeczku, naprawdę?..

— Bo pójdę sobie... jak mamę kocham... jeszcze kto usłyszy...

Za szafami znowu zawrzało, ktoś bił pięścią w stół i zapalczywie dowodził.

— A ja ci mówię, że szachrujesz! A ja ci mówię, że jak jeszcze raz mnie oszukasz, to ci buzię przenicuję na amarantową stronę.

— Gadaj zdrów, ale przegrane koniaki postaw, panno Marychno!

— Chodźmy, nie można się wtrącać do przyjacielskiej rozmowy! Zaśmiał się jeden z maszynistów i wyszli na zaśnieżony peron.

A w tejże chwili rozwarły się szeroko drzwi od podjazdu, zabrzęczały pospuszczane szable i dwóch młodzianów maszerowało równym i jakimś twardym, bojowym krokiem prosto na bufet.

Panna Marychna przypudrowała sobie twarz za palmą, przesunęła czemś po wargach, że trysnęły namiętną purpurą, wyniosła piersi nad klosze i przekąski, kieliszki postawiła na tacy i, sięgając po butelkę, czekała.

— Dwa większe, czyste! Mówiła ze słodkim uśmiechem, błyskawicznie nalewając.

Wypili.

Nalała po raz drugi, wodząc po nich zabójczemi oczyma.

Wypili.

Nalała już automatycznie, nie wypuszczając butelki z rąk.

Wypili.

Chciała lać po raz czwarty, ale jeden z młodzianów zakomenderował.

— Dawolno!

Panna Marychna z godnością odstawiła butelkę, a młodzieńcy, wsparci o bufet, długo wodzili ciężkiemi oczyma po rozstawionych przekąskach.

— Sielodka jest?—zagadnął któryś, wpatrując się ponuro w jej gors.

Podsunęła mu talerz z czarującym uśmiechem.

— A świeży kawior jest? Głos mu brzmiał, jakby przesiąkniętyłzami.

Otworzyła puszkę, przysunęła talerz i zatopiła łyżkę w szarej masie.

— Całą porcyę, dobrze? A może przyprawić z cebulką i oliwą?

— A riabczyki jest?—pytał, jakby jej nie słysząc.

— Może być wszystko, co tylko panowie zamówią! Jan! Zawołała za szafy.

DCN.

Stefan Krzywoszewski.

PRZYWÓDCA.

Dramat w 3-ch aktach.

Akt I.

Scena 3.

Ciż i Kazimierz Łomęcki.

(*Kazimierz, w podniszczonem ubraniu fabrycznem, źle ogolony, roztargniony; widocznie, że jego myśl pracuje wciąż daleko*).

MARYA (*podchodzi szybko do niego*). Dzień dobry.

KAZIMIERZ (*ściska ją za rękę*). Dzień dobry, jak się pani ma? Przepraszam... Kolego Czelański!

CZELAŃSKI (*zrywa się od biurka*). Jestem. (*Kazimierz spostrzega Ludkę i przygląda się jej ze zdziwieniem, onieśmielony*).

WŁADYSŁAW. Moja kuzynka.... Pan Kazimierz Łomęcki... (*Kazimierz kłania się zdaleka, Ludka, oddając ukłon, mierzy go wzrokiem ciekawym*).

KAZIMIERZ (*do Czelańskiego*). Idźcie do stolarni... Trzeba tam wyjaśnić, że stolarze nie mogą nic ustąpić (*szepce*). Rozumiecie?

CZELAŃSKI. Rozumiem—(*chce iść*).

BRUKWA (*rozżalony*). Przepraszam pana... (*Czelański zatrzymuje się*). Panie Kazimierzu, pan Czelański ma pilną robotę w biurze. Wczorajsze kwity nie wciągnięte do książki.

KAZIMIERZ (*z pewnem roztargnieniem, łagodnie*). To ważniejsza sprawa... (*do Czelańskiego*). Idźcie zaraz...

GARUNIEWICZ. Panie C. Czekajcie! Ja z wami także pójdę.

BRUKWA (*poruszony do żywego*). Co? i pan także! Nie, to już niech dyabli porwą całą robotę... (*Czelański i Garuniewicz wychodzą drzwiami na podwórze*).

BRUKWA (*j. w.*). Tak być nie może! Albo jest biuro, albo niema biura! Albo jest porządek...

KAZIMIERZ (*spokojnie, bez uśmiechu*). Albo go niema. Porządek po raz wtóry wyłoni się z chaosu... Wierz mi pan, wasze książki i kwity dziś nic nie znaczą...

BRUKWA. Nic nie znaczą. Ciekawym, co dziś znaczy (*szpera na biurku*).

MARYA (*do Kazimierza*). Co nowego?

KAZIMIERZ (*przypatruje się mimowoli Ludce*). Nic... (*spojrzał na zegar*). Za parę minut maszyny staną...

BRUKWA. A ja panu mówię, że dyrekcya waszych warunków nie przyjmie. Żaden fabrykant nie zgodzi się na to, żeby nie miał prawa rządzić się we własnym domu. Każdy chce być u siebie gospodarzem.

KAZIMIERZ (*j. w.*). Damy im czas do namysłu.

BRUKWA. A potem?

KAZIMIERZ. Skoro termin upłynie, zacznie się strejk.

BRUKWA. A jeśli dyrekcya zamknie fabrykę zupełnie?

(*Kazimierz robi zrezygnowany ruch ręką*).

BRUKWA. Zarząd jest podobno zdecydowany... Cóż im się stanie? Wyjadą za granicę... Ale robotnicy... A my wszyscy?

KAZIMIERZ (*łagodnie*). Bez walki nie zdobywa się praw, panie Brukwa, Walka nie obywa się bez ofiar i poświęceń...

MARYA (*porywczo*). Robotnik przywykł do głodu. Łatwiej go zniesie dla idei, niż dla tego, żeby tuczyć kapitalistów.

BRUKWA (*stroskany*). Oni nie ustąpią. Zamkną fabrykę, nam wszystkim wymówią miejsca.. Mój syn miał w przyszłym roku skończyć Rygę... Żona ciągle chora... Z czego ja wyżywię moję rodzinę? Powiedz pan, po trzydziestu latach pracy pod kościół pójdę?...

KAZIMIERZ (*j. w.*). Czy pan jesteś jeden? Czyż nam wszystkim nie grozi to samo? Przedewszystkiem im! (*wskazuje na drzwi fabryki*). Przecież nie można żyć w wjecznej niewoli... Lepiej już zginąć, by przyszłym pokoleniom zapewnić lepszą dolę.

LUDKA (*stoi trochę na uboczu z Władysławem, mówi do Władysława, lecz zwraca się i do Kazimierza*). Czyż w zarządzie niema ludzi, którzyby zrozumieli, którzyby odczuli... (*urywa zmieszana*).

KAZIMIERZ (*onieśmielony*). Tu nie chodzi o jednę fabrykę... Ani o ich współczucie...

MARYA (*przerywa cierpko*). Twoja księżna rozdaje pewno po chałupach głodnym dzieciakom cukierki angielskie i uważa się za bardzo miłosierną.. ha... (*śmieje się szyderczo*). Moja droga, my nie potrzebujemy ani współczucia, ani miłosierdzia, ani cukierków angielskich. My chcemy tego, co nam się słusznie należy i wydrzemy im choćby z gardła.

BRUKWA (*smutny*). Gdyby pani była matką, nie mówiłaby tak.

MARYA (*pogardliwie*). Dla paua najszlachetniejszem uczuciem jest instynkt kury względem swoich kurcząt.

WŁADYSŁAW (*w miarę, jak mówi, spostrzega na sobie zniecierpliwiony wzrok żony i miesza się*). To trzeba sobie dobrze uświadomić. Z jednej strony, że tak powiem, stary, ginący ustrój... Z drugiej — proletaryat. By osiągnąć wielkie cele, do których dążymy, musi być walka... walka klas... to jest konieczność... (*do Ludki*). Jeśli chcesz, smutna konieczność, ale nieunikniona... (*zegar bije piątą*).

MARYA. Piąta (*przeciągły syk syreny fabrycznej. Słychać, jak maszyny stają. Kilku rzemieślników i robotników przechodzi z fabryki przez salę i wychodzi drzwiami na podwórze*).

BRUKWA (*porządkuje spiesznie papiery i książki, poczem zamyka biurko*). Czy panowie muszą przez biuro przechodzić? Zawsze trzeba panom przypominać? (*mruczy pod nosem*). Nawarzycie piwa, które wszyscy będziemy musieli pić... Nawarzycie... Ale ja się do tego mieszać nie będę...

MARYA (*szyderczo*). Pan za nic w świecie nie spóźniłby się o kwadrans na obiad! Niech pan je spokojnie.

BRUKWA (*zaczepny*). Oczywiście, że będę jadł spokojnie. A może już i tego niewolno? Może już teraz będziecie zmuszać, aby każdy chodził na wasze wiece?

MARYA. Obejdzie się bez pana.

BRUKWA (*j. w.*). Chwała Bogu. Do widzenia państwu (*osobno kłania się Ludce*). Moje uszanowanie (*wychodzi*).

KAZIMIERZ. Panie zostają?

MARYA. Poczekamy tutaj... Czy na pana czekać z obiadem? (*wchodzi dwóch robotników z fabryki i pytającym wzrokiem spoglądają w stronę Kazimierza*).

KAZIMIERZ (*do robotników*). Zaraz idziemy... (*Szulc uporządkował biurko i przechodzi do fabryki, kłaniając się niezgrabnie*). Nie, proszę

pani... Dziś wcale nie przyjdę... nie będę miał czasu... Potem mam zaraz posiedzenie...

MARYA. Przyszlę panu do domu... (*do Ludki*). Jeśli nie jesteś głodna...

LUDKA (*żywo*). Ależ wcale nie... Jabym bardzo chętnie pozostała...

KAZIMIERZ (*z pewną nieśmiałością*). Może pani chce wejść? (*wzrokiem wskazuje na salę*).

MARYA. Nie, nie... Jak będziemy chciały, to uchylimy drzwi... (*w drzwiach znów ukazuje się robotnik*).

WŁADYSŁAW. Idziemy... (*Kazimierz kłania się Maryi i Ludce i wraz z Władysławem wychodzi do fabryki*).

Scena 4.

Marya—Ludka.

(*Z sali fabrycznej dochodzi odgłos gwaru, tłum robotników, który się schodzi. Zwolna jednak gwar milknie*).

MARYA (*po chwili*). Jakie wrażenie sprawił na tobie Łomęcki?

LUDKA (*szczera*). Wiesz, dziwne... zupełnie inaczej go sobie wyobrażałam. Wszystko, coś ty o nim mówiła... Tymczasem on w oczach ma taką dobroć... Taki cichy, skromny, łagodny... (*z przekonaniem*). Bardzo interesujący.

MARYA (*dotknięta*). Interesujący. Łomęcki nie jest salonowym paniczykiem, który umie tańczyć polkę w lewo i dyskutować o romansach Bourgeta. To jest człowiek niepospolity. On zorganizował robotników, on zrobił wszystko... Ty nie możesz mieć pojęcia, jakie były trudności... Poprostu trzeba było nadludzkiej pracy i wytrwałości... (*nasłuchuje*). O... już zaczyna mówić... Jego wymowa jest porywająca.

LUDKA. Może chcesz wejść? Jeśli o mnie chodzi...

MARYA (*z lekkim odcieniem wyższości*). Nie znają cię jeszcze... Wszystko jedno... Wiem, o czem będzie mówił...

LUDKA. Władzio dobrze mówi?

MARYA (*lekceważąco*). E... Choć przy Łomęckim dużo skorzystał.... (*w sali hałas, słychać krzyk bitego człowieka i spokojny, acz donośny, głos Kazimierza*).

KAZIMIERZ (*za sceną*). Nie czyńcie mu nic złego, tylko wyrzucić go precz. Na drugi raz kula w łeb.

MARYA (*przez drzwi*). Panie Szulc, co się stało?

SZULC (*zza drzwi*). Nic... schował się za szafę... Podobno szpicel... Lepiej go było odrazu... Ale pan Kazimierz nie kazał... (*Marya zamyka drzwi, chwila milczenia*).

LUDKA. Ty teraz jesteś zupełnie inna, niż dawniej. Pamiętasz, dwa lata temu? Władzio obawiał się już melancholii.

MARYA (*porywczo*). Błąkałam się przez życie, jak łódź bez steru. Teraz dopiero odnalazłam się...

LUDKA. Władzio cię tak kocha.

MARYA (*z lekceważeniem*). Czy sądzisz, że miłość małżeńska może wypełnić życie?

LUDKA. Alboż nie?

MARYA (*pogardliwie*). Pewnym kobietom nie potrzeba nawet miłości. Wystarczają im miłostki i flirty.

LUDKA (*z łagodnym wyrzutem*). Ja o takich nie myślałam.

MARYA (*z porywem*). Nie chciałam cię dotknąć. Jeśli tak można było zrozumieć, przebacz. Pojmujesz mnie? To taka wielka rzecz w tej płaskiej, szarej pustyni, jaką jest zazwyczaj nasze życie, odszukać swą własną drogę, jasno wytknięty szlak, nadać kierunek swym pragnieniom i dążeniom, znaleźć ich świeże, bogate źródło, bijące wspaniale... To jest dopiero życie bujne, pełne. W takiem życiu niebezpieczeństwo staje się rozkoszą—treścią bytu... (*w sali obok rozlegają się oklaski i burzliwe okrzyki*). Słyszysz, to Łomęcki porywa ich, przykuwa do swej myśli i woli. Oni muszą iść za nim, bo on prowadzi ich do zwycięstwa, do wielkiego tryumfu...

LUDKA (*patrzy na nią zdumiona*). Maniu! ja ciebie nie poznaję!

MARYA (*kiwa na nią, podchodzi do drzwi i uchyla je*). Słuchaj.

KAZIMIERZ (*za sceną mówi z rosnącym zapałem*). Tak, towarzysze! To prawo własności wypaczyło duszę ludzką, wznieciło w niej chciwość drapieżną, rozpłomieniło w niej wstrętne instynkty samolubstwa. Lecz my odrodzimy ludzkość, zniesiemy wyzysk, położymy tamę krzywdom, pod których brzemieniem ugina się cały proletaryat. Podnieście czoła! Spojrzyjcie śmiało przed siebie. Oto olbrzymia armia robotnicza kroczy naprzód niepohamowanie, z każdym dniem wzrasta liczebnie, jej organizacya, karność i uświadomienie wzmagają się bezustannie, każda chwila zbliża nas do świętego dnia zwycięstwa. Czy widzicie, jaki dziki lęk ogarnął wyzyskiwaczy? Gniew wyzyskiwanych wzbiera i huczy coraz groźniej. Drżyjcie wy, co się kryjecie w pałacach, wzniesionych krzywdą i łzami ludu! Drżyjcie, bo nadchodzi straszna godzina sądu! Nie będzie dla was przebaczenia, ani łaski! (*grzmiące oklaski*). Towarzysze! Nie odnosi się zwycięztwa bez ofiar i poświęceń. Zwycięztw nie święcą ci, co z założonemi rękami czekają zmiłowania losu. Kto pragnie uczestniczyć w tryumfach zwycięstwa, ten musi brać udział w trudach i niebezpieczeństwach walki. Kto nie jest z nami, ten jest przeciw nam (*Marya zamyka drzwi, głos Kazimierza niknie i cichnie*). Minął czas względności i ustępstw...

LUDKA (*więcej do siebie, niż do Maryi*). Tu był taki cichy i łagodny... A tam...

MARYA (*z zapałem*). On żyje tylko myślą o innych.. Sam dla siebie nic nie żąda... Wszystkoby oddał. Zmusiłam go, żeby się u nas stołował, bo całemi dniami nic ciepłego w ustach nie miewał.

LUDKA. Nie ma rodziny?

MARYA. Nie.

LUDKA (*bezwiednie powtarza*) Wydawał się taki cichy...

MARYA (*przy drzwiach*). Już kończy... Tak... (*wybuchają oklaski i okrzyki*).

OKRZYKI (*za sceną*). Tak... tak... Wszyscy za jednego, jeden za wszystkich! Niech żyje Łomęcki!

MARYA. Zaraz tu przyjdzie.

(*po chwili wchodzi Łomęcki, ocierając pot z czoła*).

Scena 5.

Marya—Ludka—Łomęcki

KAZIMIERZ (*zamyka drzwi za sobą*). Teraz będzie mówił Władysław.

MARYA (*z tajonym zachwytem*). Słyszałyśmy pana... Niech pan spojrzy na Ludkę... Jak jej oczy błyszczą...

LUDKA (*z prostotą*). Nie przypuszczałam, że z pana jest taki straszny człowiek... Niektóre wyrażenia brzmiały wprost złowrogo.

KAZIMIERZ (*łagodnie*). Mówiłem tylko, co myślę.

LUDKA. Pan... Pan musiał być bardzo nieszczęśliwy.

KAZIMIERZ (*zdziwiony*). Ja? Dlaczego?

LUDKA. Bo w panu zebrało się tyle nienawiści.

KAZIMIERZ. To... nie tylko tak... (*z początku onieśmielony, z biegiem słów zaczyna się zapalać i mówić gładko i potoczyście*). Gdy się widzi wciąż taki ogrom nędzy... niedoli.. Jeśli pani chce... ta moja nienawiść płynie przedewszystkiem z miłości dla... nieszczęśliwych (*nagle*). Czy pani była kiedy głodną?

LUDKA (*zdziwion)a*. Nie.

MARYA (*stoi przy drzwiach, z odcieniem pogardy*). Ona tego nie zrozumie.

KAZIMIERZ. Gdyby pani zajrzała do izby robotnika!.. Te kobiety, przed-

wcześnie postarzałe, brzydkie, bo która piękniejsza, staje się zaraz łupem uprzywilejowanych, dzieci nędzne, ledwo odrosłe od ziemi, już wprzęgnięte do pracy; całe życie twarde, ponure, bez uśmiechu, bez nadziei lepszego jutra... Ja... ja widziałem ludzi osłabłych z głodu, marznących z zimna... Widziałem bezsilną rozpacz matek, gdy dzieci wołały jeść. Nie ten głód literacki, przerażająco okrutny w swej grozie, nie męki Ugolina, ale głód brzydki, brudny, wstrętny,-- przekleństwa, złorzeczenia, zanik wszelkich szlachetniejszych instynktów ludzkich, — człowiek zwierzę w ostatecznem upodleniu... I... niech pani zajrzy do wnętrza tych wspaniałych kamienic — wesołe, pogodne szczęście wyzyskujących, rozkoszne używanie życia, dla owej nędzy ludzkiej pogarda — albo litość, która jest tylko odmianą pogardy...

LUDKA. Czyż kochać nieszczęśliwych, chcieć poprawić ich los, to koniecznie — nienawidzieć szczęśliwych?... Można przecież...

MARYA (*pogardliwie*). Woda z sokiem malinowym.

LUDKA (*nie zwraca uwagi*). A pan sądzi, że można będzie usunąć różnice... nierówności...

KAZIMIERZ (*silnie*). Tak. Każda wola będzie równa każdej woli.

MARYA (*podchodzi do nich*). Napróżno pan usiłuje ją przekonać...

LUDKA (*żywo*). Przepraszam cię... nie pozwolisz mi powiedzieć... ja tego nie mogę pojąć, żeby nienawiść mogła stworzyć szczęście. Nienawiść nic stworzyć nie może. tylko niszczyć... Ja przecież rozumiem, że wolności ani praw nie zdobywa się bez walki... że ofiary, poniesione w takiej walce są szczytne, ale dlaczego tylko pod hasłem nienawiści!..

KAZIMIERZ (*jakby się wstydził przyznać*). W imię miłości tłumów nie poprowadzić...

MARYA (*ironicznie*). Jak na pannę dobrze wychowaną, kuzynka bardzo ładnie dyskutuje (*odchodzi znów do drzwi*).

LUDKA. Czemu obgadujesz mnie.. Wiesz, że nigdy nie byłam lalką... Pracuję odawna... niezawsze lekko...

KAZIMIERZ. Pani musi być bardzo dobra.

LUDKA. Dlaczego pan tak sądzi?

KAZIMIERZ (*zmieszany*). Nie wiem... z tego, co pani mówi...

LUDKA. Mnie się zdaje, że gdyby nie było ludzi nieszczęśliwych, nie byłoby i złych...

KAZIMIERZ. Pani była zawsze szczęśliwa?

LUDKA. Nie... Zostałam wcześnie sama...

MARYA (*wraca do nich, ironicznie*). Stał się cud... Pan Kazimierz emabluje... Pierwszy raz widzę... (*podejrzliwie patrzy*). I nic się pan nie boi...

LUDKA. Dlaczegoż pan Łomęcki miałby się mnie bać?

KAZIMIERZ. Pani Marya wie, że jestem nieobyty w towarzystwie.

DCN.

Robert Hichens.

OGRÓD ALLAHA.

Przekład z angielskiego.

Domini i Zuzanna przybyli na stację w Robertville nazbyt wcześnie. Wielka sala, w której miały oczekiwać, była nędznie oświetlona, pusta i stanowczo zimna. Kasa bufetowa była na lewo, i stancya była przedzielona na dwie części szerokim, nizkim kontuarem, na którym kładły się rzeczy, zanim zostały zważone przez dwóch nieogolonych posługaczów w niebieskich bluzach. Trzech czy czterech brudnych drabów, w nader nędznych ubraniach europejskich i w turbanach, okrążyło Domini, ofiarując usługi. Jeden z nich, najbrudniejszy z gromady, z rozwartym oczodołem, w którym nie było oka, nastręczał się z natarczywością gwałtowną i bezwstydem, cechującym wyszkolonego fachowca. Mówił płynnie, lecz z błędami, po francusku, czem zwrócił uwagę Zuzanny, a będąc niezwykle muskularnym i sprawnym, w niepomiernie krótką chwilę opanował wszystkie pudła i walizy i ułożył je rzędem na kontuarze. Zatem łaskawie dał znać o sobie w dramatycznem spełnieniu, czem również mniemał pobudzić do życia i uwagi dwóch nieogolonych mężów w bluzach, palących papierosy i patrzących bezmyślnie na metalową blachę, na której złożone były kufry do wagi. Zuzanna stała oczekując, a Domini, nie mając nic do roboty, i nie mając na czem usiąść, chodziła zwolna wzdłuż i z powrotem po sali niedaleko drzwi wejściowych.

Było zaledwie pół do czwartej rano, i Domini poczuła w powietrzu jakby świeży oddech wstającej zorzy. Poza wylotem stancyi, gdy tak chodziła wzdłuż i z powrotem w swej bezcelowej wędrówce, ujrzała zmoczone firanki karety, które tylko co opuściła w słabem świetle latarni. Po kilku minutach weszły arabki, które była spotkała w drodze, jak brnęły zakasane po błocie. Bronzowe ich bose nogi były zamulone; jak tylko znalazły się pod dachem i w suchem miejscu, opuściły szaty, które miały uniesione, i poczęły strząsać je na posadzkę i wyprostowywać swemi zgrabnemi palcami. Czyniły to z nadzwyczajną starannością i zręcznością, poczem wycierały wielokrotnie podeszwy nóg o podłogę i wtedy wkładały swe żółte pantofle, ściągając na tył głowy kaptury, które osłaniały im głowy.

Weszło kilku podróżnych: byli to francuzi; poziewali i widocznie byli w złych humorach. Otoczyli ich różni natręci, hałaśliwie proponując usługi. Ludzie w bluzach nie przestawali palić papierosów i ciągle wpatrywali się w metalową blachę na podłodze. Wreszcie w okienku kasy ukazało się światło. Tragarze milczący odrzucili nareszcie papierosy, i mała garstka podróżnych poczęła się tłoczyć ku swoim bagażom, ukazując je laskami lub rękami. Zwolna wtoczył się pociąg, oświetlony blademi światełkami. Kufry Dominiki zwłóczono na wagę, a Zuzanna z portmonetką w ręce stanęła przed świecącym okienkiem kasy.

Śród wilgotnej ciemności odezwał się dźwięk, niby gniewny krzyk dziecka, a zaraz potem sygnał trąbki. Szarpnąwszy, pociąg ruszył, minął wszystkie latarnie i miarowo, skrzypiąc i turkocząc, pomknął w świat nieznany.

Wagon, w którym Dominika zajęła miejsce, był nędznie oświetlony. Prócz niej, trzech francuzów zasiadło naprzeciw drzwi, wiodących na platformę. Mężczyzna, siedzący naprzeciwko niej, był niezmiernej tuszy, z czarną, jak węgiel brodą, która zarastała mu aż

pod oczy. Miał na sobie czarne rękawiczki, czarne ubranie i czarny płaszcz, z również czarną klamrą pod szyją. Oczy miał zamknięte, duża jego ciężka głowa opadła na piersi. Dominika pomyślała, że jedzie on zapewne na pogrzeb kogoś z rodziny. Dwaj inni podróżni, z których jeden wyglądał na komiwojażera, grzeli nogi na leżących na ziemi naczyniach z gorącą wodą, chrząkając i żaląc się głośno. Pociąg skrzypiał głośniej i szarpał z jednej strony na drugą, by zdobyć pośpiech pod górę. Strumienie deszczu spływały po szybach, przez które nic nie było widać.

Dominika czuła się rzeźwą, lecz spadł na nią wszechwładnie głęboki jakiś smutek. Nie przypisywała tego uczucia zmęczeniu, nie próbowała go nawet analizować. Zdawało jej się tylko, że to wszystko, co dotychczas widziała i słyszała na świecie, było albo smutne, albo przykre, lub nierozwikłane.

Pociąg zatrzymywał się na małych samotnych stacyjkach. Dominika wyglądała wówczas, spuszczając na chwilę okno. Na każdej stacyi widziała lekkie domy ze spiczastemi dachami, drewniane ogrodzenia, dzielące platformę od drogi, pełnej błota, bujne trawy, uginające się pod kroplami deszczu, i okapujące wodą wysokie drzewa eukaliptusów. Czasem dzieci naczelnika stacyi przyglądały się pociągowi ciekawemi oczyma, lub arabowie zgnębieni, szczelnie owinięci, z ustami i brodą ukrytemi w chusty, przesuwali się zwolna.

Raz dostrzegła Dominika dwie kobiety w powiewnych białych szatach ze świecącemi zasłonami: wyglądały, jak duchy, śród ciemności. Ciężkie srebrne ozdoby brzęczały wokoło ich nóg ponad zabłoconemi pantofelkami. Ciemne ich oczy świeciły, okolone węglową kresą. Rękoma, koloru brunatnego, z paznokciami, ubarwionemi na czerwono, przyciskały do wydatnych piersi swoje oblubieńcze zasłony. Towarzyszył im wysoki człowiek, prawie czarny, z blizną, zygzakiem idącą przez lewy policzek; miał on na sobie lśniący bronzowy płaszcz, narzucony na szary wełniany kaftan. Wepchnął, jak piłki, obie kobiety do wagonu i wsiadł za niemi, pokazując swoje olbrzymie gołe nogi, na których ściągna były, jak ze stali.

Ciemność poczęła rzednąć i teraz, gdy szary blask począł powoli urastać, ustał deszcz — i przez okno wagonu widać już było świat.

Okolica poczęła odsłaniać się przed oczyma Dominiki. Zauważyła, że pociąg szedł bardzo wolno; powodem tego, jak dostrzegła, było znaczne wzniesienie, na które wjeżdżali. Daleko już pozostały urodzajne wilgotne równiny z pod Robertvillu, z ornemi gruntami, bogatą trawą i gajami eukaliptusowemi. Pociąg wlókł się śród pagórków szarych, nagich, pustych, bez domostw i dróg, bez jednej nawet drzewiny. Nędzne szaro-zielone kępki krzewów, tu i owdzie przy gródkach ziemi rosnące, podnosiły jeszcze miast zmniejszać wrażenie jałowości tej nędznej ziemi, nad którą zorza, wychylając się z wilgotnych objęć nocy, zrzuciła zimne matowe światło. Wąskim jarem, biegnącym śród pagórka, gdzie ziemia mieniła się brunatno-żółtawą barwą, dreptało stadko kóz z kłapiącemi uszami, a za niem dwóch małych arabów. Grali oni na fujarkach, ozdobionych w czerwone arabeski. Dominika dosłyszała parę tonów melodyi, dzikiej jakiejś, czystej a słodkiej, niby głos ptaka. Zdało się jej, że współzawodniczą one z czystem, surowem światłem, które świt rzucał na nagie, szare pagórki, i otrząsnęło to ją nagle z przygnębiającego znużenia, w które pogrążyła ją smutna obecna podróż. Zaczęła sobie zdawać sprawę z pewnem lekkiem podnieceniem, że te nizkie o krągłych grzbietach pagórki są afrykańskie, że pozostawiła poza sobą morze, którego tak liczne fale opłukują brzegi Europy, i że tam dalej, blizko linii horyzontu, gdzie podążał pociąg, leżała wielka pustynia, jej cel — ze swemi blademi piaskami, miastami w ruinach, z opalonemi słońcem plemionami, ludźmi trudu, ze zbójcami, wojownikami i kapłanami, z powietrzną tajemnicą ułudy i tragiczną wspaniałością barw, huraganów i żaru. Uczucie szerszego świata, niż ten, w który pogrążyło ją zmęczenie fizyczne, obudziło się w jej myśli i sercu. Mały arab, grający bez troski na fujarce w arabeski czerwone, znikł z oczu śród kóz swoich wpobliżu wyschniętego łożyska strumienia: był to niechybnie cel jego wędrówki, lecz dla Dominiki był on, jak ów muzykant na czele uroczystego pochodu: prowadził ją na nowy świt, do Afryki.

W Ah-Souf Dominika przesiadła do innego pociągu, i miała cały przedział dla siebie. Różni podróżni wysiadali, jej pielgrzymka była dalszą i ciągle naprzeciw słońca. Nie mogła później przypomnieć sobie, o czem tę część drogi myślała. Następne wrażenia tak wyraźnie zabarwiły jej wspomnienia z Afryki, że każda bruzda wyschłej na słońcu ziemi znaczyła się w umyśle, jak coś żyjącego. Każda palma koło studni, każdy krzew winny, i pnący się kwiat po murze oberży, i kształt każdego pagórka, i zarys każdego cienia odbiły się w jej sercu z mocą i pięknością tych rzeczy, które niegdyś w dziecinnej egzaltacyi wyśniła — że leżą za słońca siedzibą.

I tak zapomniała.

Ogarnęło ją dziwne uczucie, iż pozostawia wszystko za sobą. Była rzeczywiście zmęczona podróżą i bezsennością, choć tego nie wiedziała. Oparła głowę o brudno-białe pokrycie trzęsącego się wagonu i wpatrywała się w wielką zmianą, jaka zachodziła w okolicy.

Zdało się, że Bóg rozpostarł tu ręce, odbierając stopniowo to wszystko, co był stworzył, wszystkie zasoby, które był złożył w wielkim pałacu świata, jakby chciał go zostawić pustym i całkiem nagim.

Domini tak myślała.

Naprzód odjął on sutą i zjeżoną trawę i wszystkie drobne kwiatki, które skromnie w niej rosły. Potem zmiótł gdzieś rzędy pomarańczowe, oleandrowe i brzoskwiniowe drzewa, wierne eukaliptusy z blademi trzonami i splecionemi liśćmi, słodkie wody, które użyźniały glebę, czyniąc ją miękką i brunatną, gdy pług rznął ją w bruzdy, kępiaste rośliny i trzciny olbrzymie, które tłoczyły się, gdzie woda. I wciąż, jak przebiegał pociąg, dary jego stawały się skąpsze. Wreszcie i palmy gdzieś przepadły — i figa barbaryjska nie zalecała się już swą mocą skręconą ani bladem i fantastycznem rozwiciem swych nienaturalnych liści. Wszędy leżały kamienie na ziemi żółtej i szarobrunatnej. W słońcu lśniły kryształy, jak tanie świecidła, a tam dalej, pod chmurami, które były ciemne i jakby z pierza, widniały mocne i niezbite góry, wyglądające, lak kute z strzępionego żelaza w kształty potworne i zębate. Tam, gdzie padały w przepaście, stawały się czarne. Wzdęte ich garby i boki, ostre miejscami, jak krzyże zwierząt, były koloru stalowego. Wierzchołki ich grały purpurą, ciemniejącą aż do hebanu—tam gdzie chmury się na nie spuszczały.

Ku tym twierdzom strasznym ciągnęły karawany, na które Domini patrzała z ciężkiem i letargicznem zaciekawieniem. Wiele kobiet kabylskich, piękniejszych, niźli ona, ciągnęło zwolna pieszo ku swym skalistym siedzibom.

Po ziemi zwiędłej szli ludzie ku tym odległym górom i chmurom. Słońce było za chmurami. Wiatr wciąż się wzmagał. Piasek przenikał poprzez okna pociągu. Góry, im wyraźniej widziała je Domini, wyglądały wciąż posępniej, wciąż bardziej nieziemsko. Było coś nadnaturalnego w ich twardych zarysach, surowej tajemniczości ich nieskończonych złomów. Wszyscy ci ludzie, ciągnący ku nim, byli jacyś patetyczni i zasępiali wyobraźnię.

Wiatr stawał się tak chłodnym — słońce już się ukryło — iż zamknęła oba okna i okryła się pledem. Umieściła nogi na przeciwległem siedzeniu i wpół przymknęła oczy. Lecz wciąż zwracała je ku szybie z lewej strony i czuwała. Zdało jej się prawie rzeczą niemożebną, by ten kołyszący i zwolna poruszający się pociąg miał jakieś przeznaczenie. Pustka okolicy stawała się tak całkowitą, iż nic już nie mogła pojmować prócz większej wciąż pustki, która się miała roztoczyć. Nie czuła tego wcale, iż przerzyna częściowo trakt bezpłodny. Miała wrażenie, iż wyszła poza granice, które stworzył Bóg, i przeszła w jakieś inne miejsce, na które on nigdy nie był wejrzał i o którem nawet nie wiedział.

Naraz uczuła — iż ojciec jej jakgdyby wstąpił w podobną krainę, gdy rzucił był drogi swej wiary. I w krainie tej skończył. Stała na brzegu tej krainy przez jego łoże śmiertelne. I teraz oto jest w niej.

Nie było już teraz wędrujących Arabów, ani namioty nie świeciły już pośród nizkich krzaków. Ostatni znak roślinności został zgładzony. Ziemia wznosiła się i spadała w szeregi wzgórków i spadków, usiana bryłami skał. Cienie żółte i brunatne mieszały się i uchodziły ku stopom gór. Tu i owdzie wyschłe strumienie szczerzyły zęby. Brzegi ich były pomarszczone, jak skórka pomarańczowa. Małe ptaki, koloru ziemi, ze stroszonemi czubkami, uwijały się wdzięcznie śród kamieni, podfruwały parę łokci i siadały z wyszukaną zwinnością, jakby ich drobniutkie ciała były na drżących drucikach. Były to jedyne żyjące stworzenia, jakie Domini widziała.

Poczęła znowu myśleć o ojcu. W kraju, jak ten, wędrowała niechybnie jego dusza,—daleko od Boga.

Spuściła okno.

Wiatr był istotnie zimny i wiał mocnym prądem. Piła go, napawając się, jak świeże wino, i zrozumiała naraz, iż nigdy dotąd nie wdychała takiego powietrza. Był w niem cudowny, dreszcz budzący smak, smak olbrzymich przestrzeni i toczących się rozłogów próżni. Nigdy jeszcze, ani w górach, ani na morzu, nie oddychała powietrzem tak dziko czystem, przezroczem, żywotnem niewysłowną wolnością.

Wychyliła się ku niemu, zamykając oczy. I teraz, gdy jej oczy nic już nie widziały, podniebienie jej smakowało je jeszcze doraźniej. Myśl o ojcu odbiegła. Wszystkie szczegóły myśli, wszystkie drobiazgi naraz się zatarły. Szła naprzeciw czegoś niezmierzenie wielkiego, z ust czego płynął ów dech czarodziejski.

Gdy dwoje kochanków się całuje, oddechy ich łączą się, i jeżeli się naprawdę kochają, każde z nich jest pewne, iż w oddechu kochanej osoby jest jego dusza, idąca od świątyni ciała po przez drzwi świątyni. Gdy Domini wychyliła się, nic nie widząc, była pewną, iż w oddechu tym, który piła, była dusza, i zdało się jej, iż była to dusza z ogniami w środku rzeczy i poza niemi. Nie mogła już myśleć o swym ojcu, jako o wyrzutku, dla tego, że porzucił wiarę. Bowiem tu były wszystkie wiary, wszystkie religie, idące ręka w rękę—i po za tem—tło dla nich, coś znacznie większego, niż religia. Był li to śnieg, czy ogień? Czy było niem bezprawie tego, co uczyniło prawo, lub spokój tego, co sprowadziło namiętności do bytu? Większa miłość, niż ta, która w wierze, lub większa wolność, niż ta, która w ludzkiej woli? Domini czuła jedynie, iż gdyby nie była wieczną niewolnicą, w tej chwili umarła by z radości, iszcząc całą bezmierną wolność, która tę biedną ziemię osnuwa.

„Dzięki Ci, Boże“, wyszeptała na głos.

Własne jej słowa wróciły jej przytomność rzeczy zwykłych — lub też zaśniły ją na wieczność.

Zamknęła okno i siadła.

Wkrótce słońce znowu wyjrzało i cienie rozliczne żółtego i pomarańczowego koloru, które grały nad ziemią zmarszczoną, poczęły się pogłębiać i jaskrawieć. Domini tak całkowicie wgrążyła się w letarg, że, chociaż nie śpiąca, zaledwie zdawała sobie sprawę ze słońca. Śniła snem wolności.

Pociąg zwalniał i stanął. Uderzył gwar głośny wielu głosów, na który wyjrzała. Słońce nie świeciło teraz jaskrawo — i ujrzała stacyę, natłoczoną Arabami w białych burnusach, którzy nawoływali, witając swych znajomych w pociągu, proponowali jadącym olbrzymie pomarańcze, lub spacerowali tam i napowrót, rozglądając się ciekawie śród podróżnych, z tą nieznużoną czujnością i biernością w powrocie od badań, którą już przedtem zauważyła i osądziła, jako zwierzęcą. Przyszedł konduktor, oznajmił jej, że miejscowość zwie się El-Akbara i że pociąg będzie tu stał dziesięć minut, oczekując na pociąg z Beni-Mora. Postanowiła wysiąść i wyprostować zdrętwiałe nogi. Na platformie zastała Zuzannę, która wyglądała, jakby obita po twarzy. Jeden policzek był czerwony i pokryty nikłą siatką cienkich linii. Drugi był szaro biały. Sen wisiał na jej oczach, nad któremi powieki opadały, jakgdyby były na pół sparaliżowane. Palce jej były żółte od obierania pomarańczy, i jej szykowny mały kapelusik przekręcił się na bok. Na czarnej jej sukni były ziarnka piasku— i gdy ujrzała swą panią, wraz zesznurowała buzię i przybrała wyraz niestrudzonej cierpliwości, charakterystycznej w dobrze ułożonych służących, które rozumieją, iż podróżują zdala od kraju w obcej miejscowości.

— Czy dobrze spałaś, Zuzanno?

— Nie, proszę pani,

— Czy jadłaś pomarańczę?

— Nie mogłam jej przełknąć, proszę pani.

— Może byś chciała wysiąść i wypić tu szklankę kawy?

— Dziękuję pani! Nie mogłabym tknąć tej arabskiej mikstury.

— Wkrótce będziemy już na miejscu.

Zuzanny drobne rysy stały się jeszcze drobniejsze, spuściła oczy na swą spódnicę i naraz poczęła otrząsać z niej ziarnka piasku w sposób obraźliwy, wysuwając jednocześnie lewą nogę. Dwóch czy trzech młodych arabów zbliżyło się do wagonu i stanęło, oglądając ją dokoła.

Oczy ich były wspaniałe i poważnie baczące. Zuzanna w dalszym ciągu otrząsała i gładziła swą suknię, a Domini spacerowała wzdłuż platformy, rozważając, do czego był podobny umysł dziewczyny francuzkiej. Zuzanna — to pewne — była ograniczona. Oczywiście — zgorszyła się widokiem nagich nóg. Dla czego?

DCN.

Druk Tow. S. Orgelbranda Synów w Warszawie. Redaktor: JÓZEF JANKOWSKI.
Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków ulica Zyblikiewicza, № 8.